

ROZMAITOŚCI.

Dnia 7. Marca.

N^o 10.

Roku 1855.

SENEGAMBIA.

Przygody pana Verneuil w podróżach nad Senegalem i w środkowej Afryce.

(Dalszy ciąg. Ob. Nr. 8. 9. Rozmaitości.)

II.

Saint-Louis. Uroczystości. Historia jednego Francuza, który w pojedynku zdobył królestwo.

Wypocząwszy dni kilka zacząłem się rozpatrywać w mieście; leży w piaszczystej kępie na Senegalu, rozległej wzdłuż 2.000 metrów, a wszerek miejscami 300, gdzie indziej 500 metrów. W samym środku miasta siedzą Europejczycy w muryrowanych domach o jednem piętrze zawsze; wyższe nie ostałyby się pod ciężarem, bo mają dachy na sposób orientalny zbudowane w terasę, która służy za ogród i do przechadzki oraz. Pomieszkanie urzędników obwodzą mury, od dziedzińca są w nich sklepy, zwykle nędzne, lecz mają wehód i od ulicy.

Najznakomitsze gmachy są: hotel rządowy, gmach duży ale przez połowę abo i więcej drewniany, bardzo wielki szpital i doskonale urządony kościół, struktury francuskich kościołów wiejskich, ogromna kasarnia przezwana orleańską, ale chociaż nowa, rozpada się już w gruzy. Materiał zły, i nad Senegalem nie dostać lepszego, skalne wapno nie ma łożowatości i nie wiąże, cegła z namułu

wodnego, rozsypuje się na proch; kamień trzeba sprowadzać z Galamu, 150 mil za wyspą Saint-Louis; a drzewo, belki i inny budulec z Ameryki przychodzi.

Ulic także niema czém brukować, i wystawione są na pastwę wiatrom; tumany piasku stają, że ludzi nie widać; gdzie jaka szpara, pył się przeciska do izb, a po drodze same wydmy i jamy.

Murzyni zamieszkują brzeg północny i południowy wyspy; chaty ich idą pod sznurem i grupami po kilka, ogrodzone są płotem do 5—6 stóp wysokim. Każda taka zagroda składa udzielną rodzinę, ale różnicy w nich niema, jakie urządzenie u jednej, takie same u drugiej. Naczelnik rodziny i żony jego mieszkają w pośrodku w domkach osobnych, niewolnicy po stronach na prawo i lewo także w osobnych budach; przed nimi ścieli się dziedzińiec, gdzie się odbywają roboty kobiece, zwykłe zatrudnienia

gospodarskie, jak wymłot i tłuczenie prosa, senegalski chleb powszedni.

Pytałem dlaczego nie zaprowadzą i nie nauczą Murzynów łatwiejszego sposobu tłuc i rozcierać proso? odpowiedział mi Baron, że tego Murzyni nie chcą; coby nasze żony robiły, mówili, gdyby im robota z waszymi maszynami poszła prędzej i łatwiej?

Prawda że teraz schodzi im dzień za dniem pewnym i jednostajnym porządkiem; kobiety statecznie w ruchu, gotują i przyrządzają strawę, mężczyźni trudnią się rolą, łowami, rybołówstwem, i zbiorką chróstu. Wielu bawi się handlem, rozwożą co mają między Murzynów w głąb kraju i w górę Senegalem, inni zajmują się tkactwem i wyrabiają materye bawełniane bardzo poszukiwane w zachodnich stronach Afryki, które się nawet i do Indyi zawożą.

Warstatu ich niktby nie poznał, taki prosty; kilka gałązek i kawałków wodnej trzciny, a w godzinę kilka takich wystawić można. Pracują pod niebem, ale w wyrobach różnaitości niema, paski czerwone i niebieskie muszą być, bez nich się nie obejdzie, lecz na tém i cały rysunek.

Raz przechodząc widziałem w jednej zagrodzie białego chłopca, bawił się z chłopcem murzyńskim; obydwa w jednym byli wieku, ale mi wpadło że murzynek widocznie był silniejszy. Ta różnica zachodzi do lat 10—12, mówił mi mój kolega; po dwunastym roku rozwija się chłopiec europejski i przewyższa murzyna.

Długi czas nie mogłem się od tych chłopców oderwać; rozrzewniało patrząc, że się z sobą bawią, a czekały ich losy na przyszłość weale przeciwne. Widać było że się lubili, lecz i to uważałem, że biały malec siedział w piasku i stawał domki, a murzynek donosił co tamten rozkazał.

Właściciel tej chałupy nazywał się Samba, rosły, przystojny murzyn, rysów twarzy ujmujących, przyjmował mię u siebie z wielką grzecznością; zaprosił do swojej izby; nie było tam różnicy od izb u jego niewolników, drewniane łóżko, we środku ognisko, po ścianach rozwieszona odzież podarta, płoski i grigri; a grigri są—to małe torbeczki skórzane, które Marabuci sprzedają za świętości od wszelkiego niebezpieczeństwa. Murzyni w nie wierzą z całym przekonaniem wiary, że z grigrem swoim gotowi stanąć przed otwór działa i nie obawiać się.

Ja z tym talizmanem, powiadał Samba, raz pokonałem lwa, z tamtym krokodyla, a z tym trzecim haja morskiego. Słuchałem go z skruszeniem, udając że wierzę. Radzę ci, mówił murzyn dalej, ażebyś się sam zaopatrzył w ten cudowny środek, i będziesz bezpieczny od dzikich zwierząt w tym kraju.

W każdej takiej torbeczce jest jakiś wiersz z koranu, i to w tym wierszu polega cała skuteczność i moc, skóreczka służy tylko za pokrowiec. A mają te talizmany nie tylko moc chronną od złego, są także takie co wzniecają wenę poetycką. Arabscy i yolofscy poeci noszą się z nimi i im przypisują swoje natchnienia. Po śmierci składają murzynowi

wszystkie jego amulety i talizmany do grobu.

Samba liczył może lat trzydzieści, a miał sześć żon; gdy postrzegł ze mnie to zastanowiło, objaśniał mi, że Koran obowiązuje prawem każdego Muzułmana rozmnażać swoją rodzinę. Nie chciałem wchodzić w rozprawę, tylko-m dodał, że Europejczyk nie byłby w stanie wyżywić i utrzymać sześć żon.

Bo-to Biali popsuci są i dumni, odpowiedział... nasze żony o tém tylko myślały, aby pracować jak najwięcej i nam posługiwać. W istocie też murzynki są niezmiernie usługne i wcale niewymyślne, zawsze wesołe, a co najbardziej ze wzorowej wierności dla męża.

Nad sześć żon nie wolno murzynowi mieć więcej; ale dla Marabutów niema ograniczenia na to. Żony w godności wszystkie między sobą są równe, zwykle jednak prowadzi rządy pierwsza z porządku ślubna.

Północny wysokok wyspy nazywają Murzyni Bopu'dar, co ma znaczyć: Głowa wyspy, może stąd że tu stoi ogromny Meczec, który także zwiedziłem. Właśnie gdym nadszedł, zabierali się Marabuci do ceremonii przedwstępnych, zaczęli się podnosić z siedzeń pod bramą, ocierać, chędożyć i umywać.

Ci duchowni mahometańscy są prawie wszyscy kalecy, ubodzy i żyją po największej części z jałmużny. Mimo kalectwa jednak ciągle w podrózach, i rzadko kiedy bawią w tój samój wiosce dłużej nad jeden dzień. Chociaż z jałmużny żyją, nie zebrzą jednak po domach, stają na miejscu otwartém i wrza-

skliwym śpiewem nęcą miłosierdzie mieszkańców. Mało znają potrzeb, zatem łatwe znachodzą opatrzenie; garść prosa, i dosyć dla nich; a podsyciwszy się zwołują prawowiernych na nabożeństwo, odprawiają z nimi modły, i potem dalej idą w drogę.

W chodzie zachowują ruch osobliwszy, podobny do truchtu koni, głowa zwieszona, i pomrukują ciągle; w podróży nie ustają, noc nawet niebywa im przeszkodą, pełni otuchy w swoich talizmanach, nieobawiają się żadnej przygody; i rzecz szczególna, że pomimo tyle niebezpieczeństw po borach i puszczech, mało ich ginie. Prawdziwie to zastanawia.

Wszedłem z Marabutami do meczetu; wyglądali czysto umyć, bo prawo nakazuje, ażeby do świątyni wstępować chędogo; jeźliby wody nie było umyć się, tedy według koranu należy wytrzeć się piaskiem.

W meczecie poustawiali się we dwa szeregi, i rozpoczęli ruchy nabożne, najprzód zlekka przyczukali do ziemi, potem podchwytywali się nagle pionowo w górę i zaintonowali modły przez nos z wrzawą niestychaną. Jedni wydawali z siebie dziwne tony jak brzuchomowcy, zdawało się że zpod ziemi, a drudzy im w kanon odpowiadali przeraźliwą fistułą, że aż uszy bolały.

Panująca religia w Saint-Louis jest chrześcijańska; ale luboć wszyscy Mula-ci, i w znacznej części niewolnicy wyznają wiarę chrześcijańską, obchodzą jednak zawsze uroczystości mahometańskie.

Najznakomitsze są Gamu i Tabaski, i trwają po ośm dni, w ciągu których

Murzyni oddają się zabawom osobliwszym i bardzo ciekawym. Zchodzi się na nie ludność z dalekich puszczy afrykańskich, a olbrzymi występują w arenę, i borykają się z sobą — publicznie. Można się wtedy napatrzeć jak krępy Bambara powala o ziemię Kajarda, chociaż murzyni tego szczepu są i rośniejsi i mocniejsi, tylko że nie tyle zwawi co Bambarę; po nich mocuje się silny ale niezgrabny Yollof z Mandingiem smukłym i zwinnym i ulega zreczności przeciwnika mimo swęj siły.

Zapaśnicy występują jak niegdyś szermierze greccy, nadzy, nacierają się olejami, ażeby się snadniej zpod ujęcia wyśliznąć. Nim się pasować zaczynają, stają naprzeciw siebie, czają się, wyczekują sposobnej chwili, potem niespodzianie w skok się rzucają, i byle się któremu udało porwać zgrabnie drugiego w poły, powali go pewnie o ziemię. Widzowie sławią wrzawą i oklaskami zwycięzcę, bohater bierze pod rękę swoją kochankę, przechadza się z tryumfem, przyjaciele i śpiewacy tłoczą się za nim, obwołują waleczność i siłę jego i wybijają famfary Tamtamem.

Przypatrując się tym atletom afrykańskim z zadziwieniem. pytałem, czyli téż istotnie oni są mocniejsi od Europejczyków?

Mocniejsi, niezawodnie, odpowiedział mi porucznik P... ale my zręczniejsi, i Europejczyk z mierną siłą pokona zawsze najsilniejszego Murzyna. Opowiem Panu nawet jeden ciekawy przypadek.

Jeden Francuz tu w Saint-Louis, niejaki Duranton, wyprawił się z polecenia

urzędu w głąb Afryki. Miał przy sobie orszak zbrojnych murzynów, ale nabrał i różnych towarów, ażeby gdzie potrzeba i darami wyjednać spokojną przeprawę. Gdy przybył do Tombuktu upodobał sobie na dworze jednego z tamtejszych królików tak, że u niego pozostał i wracać nie chciał do Francji.

Ależ bo kraj ten w Afryce prawdziwy raj ziemski, i Duranton znalazł w nim swoją Ewę; ożenił się z córką monarchy, gdzie bawił gościem.

Po śmierci królika, wystąpiło trzech pretendentów: Duranton jeden i dwóch jego szwagrów. Prawo wyraźnie przysądza koronę mocniejszemu; wypadało więc mocować się z sobą. Tamci dwaj Afrykanie znani byli z siły olbrzymiej, Francuz zaś nie celował bynajmniej siłą, ale szermierstwo znał doskonale. Dwaj bracia wzięli się piérwsi w zapasy; że byli równi siłą i męztwem, walka trwała długo, nim jeden z nich się powalił.

Teraz na ciebie kolój, mój Bieluchu, rzekł zwycięzca, nastając na Durantona, nie bój się wezmę się z lekka do ciebie, tyś taki słaby i mały, że ci szkodzić nie chcę.

Ale Duranton wywinął się olbrzymowi, i zręcznie w około niego zaczął zaskakiwać, ażeby mu jak stołka przystawić.

A-to lew z małpą! wołali widzowie. Pokazało się że i lwy bywają pod wozem; pod pięściami małpy padło lwisko jak długie, wszystkim widzom ku pośmiewisku a na sławę Durantona.

Zwycięzca posiadał władzę, a imię jego zostanie pamiętne Francuzom i wplemieniu, któremu panował. Do Paryża

posłał zaraz znaczną sumę mistrzowi szermierki, wdzięczen staremu żołnierzowi za to że go wyuczył turnieju i szermierstwa. Poczciwy żołnierz do niedawna dawał lekcye fechtunku w Paryżu, ale z uczniów tylko jeden przyrodził się królem.

Panował dzielnie, zwodził wojny z sąsiadami, i pokonał wieleplemi on ościenych. Francuzów zawsze kochał, i mimo odległości przybywał często do Saint-Louis. Człowiek był-to bardzo roztropny, ale w obejściu miał coś odrażającego i surowego, i łatwo mu było zmurzynić się zupełnie, przybrał obyczaje i ich strój narodowy: głowa goła, nogi bose, fartuch około bioder naksztalt greckiej fustaneli, tak zawsze chodził; zarastał mocno, gęsta broda spadała po piersi, a czarne warkocze obsłaniały kark i plecy. Gadał wszystkimi językami plemion senegalskich i po arabsku umiał; nie było w nim już i śladu europejskiego. Ale Francję kochał duszą i ciałem, i miał zwyczaj spadać jak bomba do gabinetu gubernatora ilekroć dopatrzył jakiej chyby w administracyi.

Raz nawet uniesiony zapalem zawołał na gubernatora: jeżeli tu jeszcze gubić będziecie kolonię, sam ją zdobędę w imieniu Francyi, i sam rządzić będę dla dobra ojczyzny mojej. Na jego téż imię drzeli źli i przedajni urzędnicy, i nieszczęście było-to dla kolonii, że młodo umarł. Ostatnią razą gdy był w Saint-Louis, przepowiedział zgon swój, zalił się ze daleko od Francyi umierać musi; i przeczucie sprawdziło się. W kilka dni potem już nie żył.

Pojedynki u Murzynów bardzo są we zwyczaju; ale nad Senegalem używają broni tylko przyrodzonej: kułaka i pięści. Odbywają się zawsze na ustroniu i przy świadkach. A jeżeli, co między murzynami często się zdarza, zapaśnicy tchórzą, i szczurząc się godzinami na siebie do kułakow nie przychodzi, wtedy bywa że widzowie ochłoszczą jednych i drugich. Sam byłem raz świadkiem. Ogromny murzynisko z puszczy stanął i wyzywał do walki przeciwnika i jego świadków; napróżno! strach ich ogarnął, żaden nie śmiał się ruszyć, chociaż olbrzym groził. Zniecierpliwiony wreszcie rzucił się na zalęknionych, gniołł i młócił wszystkich. Z pogardy ani się obejrzał na tych, co leżeli i jęczeli, ale szedł prosto na mnie i wołał:

Białe człeczko! nie mierz waleczności murzynów po odwadze tych tchórzów, co są tylko hańbą i zakałą naszego plemienia. *Bibl. Jag.*

Wróćmy do zabaw w Saint-Louis.

Obok turniejów idą bale.

Każde plemię murzyńskie ma właściwe tańce i muzyczne instrumenta. Bambarowie używają fletni, a w zwyczaju mają tylko tańce wojenne, u nich na ochotę każdy idzie z pałką. Mandingowie przygrywują na jakiejś gitarze, i po jej dźwiękach idzie taniec bardzo skoczny, zawiły i szczególny. Yoloffy zaś, a właściwi mieszkańcy w Saint-Louis drepczą do pogrzebowych tonów tamtamu, taniec ich jest dziwaczny i unurzający.

Na takich uroczystościach sadzą się Signardki jedna nad drugą. Zwykle ła-

dują na swoje niewolnice wszystkie skarby i kosztowności na jakie zdobyć się mogą, i z niemi występują po ulicach w paradzie. Często oko olśnie patrząc na taką grupę murzynek wyraźnie oblepionych złotem; często tysiącami nie opłacić tego co jedna z nich na sobie dźwiga. Jeżeli się Mulatce uda tym spo-

sobem przyćmić rywalkę, wtedy zostaje królową towarzystwa, dom jęj dworem etykiety najsurowszjęj, a zaszczyt temu kogo tam przyjmują; jęj powadze ulegają wszystkie niewieście zgromadzenia, aż póki jakaś inna Mulatka bogatsza i marnotrawnniejsza nie wywinie jęj berła.

(Dalszy ciąg nastąpi).

MANFRED.

Tragedya w 5 aktach wierszem

przez

Xawerego Godebskiego.

(Dalszy ciąg. Ob. N. 1. 2. 3. 7. 8. 9. Rozmaitości).

Akt III.

Scena 1.

Las. — Noc.

Rodryk (za Sceną).

Chłopcze, przytrzymaj konia! — Księżyc wszedł
(za chmury,
Nic niewidać, do koła zapadł zmrok pounry.
(wchodzi, a za nim Giermek).

Rycerstwo nasze znacznie pozostało w tyle:
Trudno się z nim połączyć! — Zaczekajmy chwilę,
Może też w pośród lasów uroczystej ciszy
Ucho nasze tém łatwiej głoś jaki postyszysz;
Czy klasztornego dzwonu, czy rogu strażnika. —
(oglądając się w koło).

Ciemno, głośno i pusto — ustroił jakaś dzika....
Chłopcze, wzrok twój bystrzejszy prędkiej co
(dostrzeże:

Gdzież myślisz, że jesteśmy?

Giermek.

Rozpoznałem wieżę,

Nim się Księżyc do reszty zanurzył w obłoki. —
Wieża to straszna, zwłaszcza wśród nocnej po-
(mroki.

Rodryk.

Dlaczego straszna?

Giermek.

Dziwne o niej chodzą wieści,
Mówią że duch zaklęty w jęj murach się mieści:
Nigdy nad nią najmniejsza gwiazda nie połyska,
Stoi jak czarany olbrzym wśród gruzów zamczy-
(ska.

Radbym żeby najrychlej zaświtało rano.

Rodryk.

Uspokój się nie długo staniemy w Lnkano,
W siedzibie ojców moich, gdzie mię utyskniona
Z późnych lat mych nadzieją, oczekuje żona,
Licząc co dzień na nasze powroty niezwłoczne. —
Siadaj chłopcze, ja także pod tém drzewem spo-
(cznę:

(siada pod drzewem).

A nim noc dziś leniwa do reszty ubieży,
Opowiesz mi, coś słyszał, o zaklętej wieży.
Od lat młodych publiczną zajmowany sprawą,
Małom na wieści gminne zwracał myśl ciekawą.
Zaczynaj — słucham — bajka do snu usposabia
Stare dzieci jak młode.

Giermek.

Niechajże Pan Hrabia
Zasiąść tuż obok siebie pozwolić mi raczy,

W nocy lubię pod ręką mieć moich słuchaczy,
Pamięć mi lepiej służy, opowiadam chętniej.

(odgłos dzwonu).

Rodryk.

Słuchaj dzwon Świętokrzyski w oddaleniu tę-
(tni —

Zatrzymaj się z powieścią — dźwięk ten dobrze
(znany,

Obił się, nim tu doszedł, o rodzinne ściany,
I słodkie w sercu mojem wspomnienie obudza.

Małoby mnie zajęła w tej chwili rzecz cndza. —
(Słysząc w oddaleniu dalekiem słabe nōty religij-

nego chóru, który przeciąga się aż do końca sceny).

Lecz cóż to znów za głosy z rannemi powiewy
Uszów moich dochodzą?

Giermek.

Muszą to być śpiewy

Naszych żołnierzy....

Rodryk.

Prawda. — Zwyczaj bogobojny

W naszym rycerskiem bractwie, czy to w cza-
(sie wojny

Czy w podróży dzień zacząć od pobożnej pie-
(śni. —

(srywając się).

Dalej, chłopcze, do koni! Wybierzem się wcze-
(śnięj:

Kierując się za głosem wyjdziemy na drogę:
Tak w Lukano, przede dniem jeszcze stanąć

(mogę.

(odchodzą).

Scena 2.

Cela Opatu w Świętokrzyskim Klasztorze.

*(Opat siedzi nad księgą zajęty czytaniem. Manfred
wpatruje się w niego z posepnem zadumaniem).*

Manfred.

Czy dawno już na Jutrznję uderzyły dzwony?

Opat.

W rozmyślanii o rzeczach świętych ponurzony,
Nie rozliczam się z czasem. — Kiedy dzwon ude-

(rzy,

Wiemy, że przyszła pora służby czy pacierzy —
I dla nas dosyć na tém. Godzin więc nie liczem,
Nam się te dnia skazówki niezmienniają w niczém

I są tylko w wymiarze niezmiennego losu
Jednostajném następstwem bez żądź i rozgło-
(su. —

Manfred.

Oni tak żyją — życiem jezeli kto mieni
Przechodzenie ruchomych na dobie jasnym cieni.

Rozmyślania i modlitw bezowocna praca
Niezmiennie jak w deptaku umysł ich obraca:

Dzwon dzwonowi jak echo odpowiada głucho,
Aż natrętnem wzywaniem zmordowane ucho

Dźwięki te z rzeczywiśtą zachwyci rozkoszą,
Gdy mu ostatnią bytu godzinę ogłoszą. —

Kiedy grzmiąc pedzi rzeka wezbrana ulewa,
Nie jeden kwiat, nie jedno okazałe drzewo

Unoszą się na pianach rozhukanej fali,
Prąd jej porywa wszystko i nie nie ocali,

A drzymiącego na dnie ilu niewyniesie. —

I mnie też w najświetniejszym dni moich okresie
Zachwyciła nawałność, i dotąd mną miota,

Kwiat i liść oberwała z pnia mego żywota —
Pień pozostał — a dokąd obumarłe ciało

Poniesie fala? Nie wiem — i troszczyć się mało.

Opat.

Jakież duch fatalnemi spętał cię ogniwy?

Przestań, zaklinam ciebie, przestań nieszczę-
(śliwy,

Znieważać pańskich progów bezbożną rozpaczą.
Nie bluźnij!

Manfred.

Ludzie zwykle błędnie to tłómaczą,
Co im się w niezwyčajnym przedstawia spo-

(sobie.

Nie chcę moją boleścią natrętnym być tobie,
Byłem już nim aż nadto. Posłuchaj mię starcze:

Zwykłem mówić, co myślę, słowem nie frymaczę.
Błoga tych miejsc spokojność i ciche twe cnoty

Mogłyby czarne moje rozpędzić zgryzoty;
Mogłyby mię sprowadzić na zbawienną drogę,

Gdybym serce mógł zmienić — zmienić go nie
(mogę —

Zbudzonych żądź w niém wrzawy nic już nie
(uciszcy. —

O! wierz mi, nie zatrzymuj moich towarzyszy:
Oddalę się wraz z nimi — ani ja, ni oni
Niesą pożądanyimi gośćmi w tej ustroni.

Opat.

I gdzie się udasz?

Manfred.

Niema kniei tak zapadłej

Gdzieby naszych kryjówek zbiry nie odgadły:
Ciemne skał rozpadliny gromem roztworzone,
Mogłyby dać nam tylko czasową ochronę;
I tę zgłodniałym wilkom wydzierać potrzeba
Wyzutemu z opieki i ludzi i nieba. —

Opat.

Nie wracaj do tych ludzi — nic cię nie naciska:
Znam ja twych towarzyszków — poznałem ich
(z bliska

W owęj straszliwej walce z ryczącym żywiołem
Który na brzegi nasze wyrzucił ich społem,
Zsinałych i zięjących — strudzone ich dłonie
Puszczaly odzież, złoto, nie sięgając po nie,
A z morderczą zmyślnością chwytały za noże. —
I cóż cię do tych ludzi przywiązywać może?
Krwawe to bractwo, synu, plemię nie człowiecze;
A ty hersztem ich jesteś!

Manfred.

Czém jestem nie przeczę,

Znasz więc całą okropność obmierzonego losu:
Poznałeś herszta.

Opat.

Słuchaj życzliwego głosu:

Zrób rozbrat z tymi ludźmi — powróć do Lu-
(kano;

Raz cię już tam przyjęto — a choćby poznano,
Hrabina jest szlachetna, względna i łaskawa,
Ostłoni cię przed zemstą surowego prawa,
Prosić będzie za tobą.

Manfred.

Prosić za mną!.. Ona?

Starcze, ty tracisz rozum.... kiedy Manfred
(skona,

A ciało jego sine, martwe i skościale
Zerwane z szubienicy, na kraju zakałę,
Ciekawości i szyderstw przedmiotem się stanie
Najlichszego z mych wrogów patrzącego na nie,
Każ je, gdy zechcesz, rzucić pod Lukańskie progi,
Na których póki żyję, nie postawię nogi;
Drzyj jednak, by i wtedy trup niepowstał jeszcze
I nie przeklął cię....

Opat.

Mroźne przejmują mię dreszcze. —
Gdzież pójdziesz? gdzie cię rozpacz zatrzyma
(szalona?

Niema tu w okolicy jednego Barona,
Coby cię mógł w potrzebie wesprzeć swą opieką;
Posiadłości Rodryka ciągną się daleko.

Manfred.

Nie braknie przecież ziemi, gdzie jego potęgą
I na zabory chciwa ręka nie dosięga. —
Gardzę litością Panów i nie zebrzę łaski.
Zgliszczą zgasłych wulkanów wrzące pustyni
(piaski

Ponętniejszym mię stokroć widokiem przywabia;
Niż pobyt w rajy ziemskim pod Lukańskim Hra-
(bią.

Zostań z Bogiem!

(odchodzi).

Opat (sam).

Co wyrzekł czynem udowodni.

Wzniosłym był w powodzeniu, i został nim
(w zbrodni....

Byłby wielkim i zacnym — zdradzony przez
(ludzi,

Ciężko upadł — a przecież podziwienie budzi;
Bo człowiek z tém uczuciem, mierności niezna-
(nem,

Jeśli nie jest Aniołem, musi być szatanem. —

Marek (oznajmiając).

Ojczy, Hrabina pragnie mówić z tobą sama.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Starożytności w Stepach Kirgiskich.

P. Vlangali kapitan w ros. korpusie górniczym, wydał w Petersburgu dzieło: „Wycieczka geognosty w wschodnie strony step kirgiskich.“ — Objężdżał te okolice z polecenia rządu, ażeby rozpoznać pokłady ziem i kruszców. Luboż ziemię znalazł wcale ubogą, i bynajmniej odpowiadającą podaniom które się z wieków starożytności o bogactwach tam przechowały, za to odkrył, że stepy kirgiskie niegdys miały być niezmiernie zaludnione, jak to widzieć można po kopcach i mogiłach, jako też po szczątkach gmachu odkrytego jeszcze za Piotra Wielkiego. Miała to być świątynia Buddystów, niegdys w wieku sze-

snastym z rozkazu Ablai Hana kałmuckiego stawiona. Przy uściu Ablajkili w Irtyszę, w pobliżu twierdzy Semipałatyńsk, wznosił się gmach pokryty dachówką, szeroki przed nim dziedziniec opasywały mury wokoło. Za wnijściem przeze drzwi, podnosiły się rozstawione w gmachu z siedzeń swoich bożyszcza, i stały na powrót gdy drzwi zamknięto. Misternie przyrządzone sprzężyny u drzwi wykonywały te cuda mechaniczne. Znalezione w tym gmachu także różne relikwiarze z złotem i srebrem bogato ozdobione, które do Petersburga przesłano.